

Za bramą wielkiej ciszy:

... trzeba ocalić świadectwa przeszłości dlatego, bo jakakolwiek była, stanowiła część historii narodu, naród zaś pozbawiony historii przemienia się w bezbronne stado oraz, że ...

WALCZĄC O PRZYSZŁOŚĆ NARODU, TRZEBA SIĘ OPRZEĆ O JEGO GROBY.

Jerzy Waldorff sfalszowany pod homoseksualistów- Miecio od Waldorffa

24 października 2008

<https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kraj/271391,1,miecio-od-waldorffa.read>

Jesienią 1939 r. Jerzy Waldorff wyruszył z okupowanej Warszawy do Wilna, żeby odnaleźć Mieczysława Jankowskiego, z którym później był do śmierci. O jednej z tajemnic życia wybitnego krytyka muzycznego, wieloletniego współpracownika „Polityki”, pisze w swej nowej książce Mariusz Urbanek. Przedstawiamy fragment. Jerzy Waldorff zmarł w grudniu 1999 r. 40 lat wcześniej, 30 kwietnia 1959 r., w obecności dwóch notariuszy sporządził testament. Swym spadkobiercą ustanowił Mieczysława Jankowskiego, syna Jana i Marii.

Ktoś sfalszował czyli przerobił jego testament:

5 listopada 1989 r. **uzupełnił testament o odrębny kodycył:** „Mieczysław Jankowski, nasz daleki powinowaty, na przełomie lat 1939/1940 uciekł z Wilna przed łapankami sowieckimi i został przyjęty w Warszawie przez moją Matkę za drugiego syna, a przeze mnie jako brat z wyboru. Odtąd idziemy razem przez życie, mieszkając, gospodarując wspólnie ponad pół wieku” – pi

W ostatnim w życiu wywiadzie, którego udzielił Bohdanowi Gadomskiemu, na pytanie, kim jest mężczyzna, z którym mieszka, powiedział, że to cioteczny brat. Przyjechał do Polski w 1939 r., uciekając przed wywiezieniem na Sybir. „Tak jak stał, przyszedł do naszego domu i został uznany przez moją matkę za drugiego syna. Matka umarła, a my obaj dalej toczymy ten bardzo głęboko kawalerski żywot” – mówił.

Taka była wersja dla opinii publicznej. „Mieszka z młodszym bratem (ciotecznym), emerytem Teatru Wielkiego w Warszawie” – informował w 1990 r. dziennikarz „Wprost”. Telefony odbiera „pan Mieczysław, daleki kuzyn Jerzego Waldorffa z Wilna” – pisała dziennikarka „Twojego Stylu”.

Prawda była inna. Mieczysław Jankowski nie był ani ciotecznym bratem Waldorffa, ani dalekim kuzynem. Był jego partnerem, kochankiem i opiekunem, bez którego pod koniec życia, kiedy poruszał się już wyłącznie o kulach, nie poradziłby sobie.

Mieliśmy przychodne służące, ale okradaly nas - rzekomo pisał Waldorff w kodycyłu do testamentu. Wtedy Mieczysław wziął na siebie trud prowadzenia domu. Gotował, sprzątał i prał. Nie zmuszały go do tego trudne warunki. Jako tancerz Teatru Wielkiego, a później inspektor baletu i pedagog w Warszawskiej Szkole Baletowej zarabiał wystarczająco dużo, żeby się utrzymać.

„...za samodzielne prowadzenie domu (...) nigdy nie pobierał żadnej pensji, czym zyskał we mnie dłużnika, na jaką sumę?...” – pisał Waldorff w testamencie.

Uzupełniał testament – kto ? dobrze wiedząc, że polski system prawny nie zna pojęcia związków partnerskich. Osoby homoseksualne, mimo przeżytych razem lat, nie miały żadnych wynikających z tego uprawnień. Bał się, że kiedy go zabraknie, Mieczysław Jankowski zostanie pozbawiony wszystkiego.

W związku z panującą w Polsce inflacją nie można ustalić wartości pracy Mieczysława Jankowskiego, pisał dalej. Poprosił o pomoc ambasadę USA („Wobec faktu, że również w Polsce walutą porównawczą stał się dolar” – napisał). Poinformowano go, że wykwalifikowana pomoc domowa w Stanach otrzymuje za godzinę pracy do 20 dol. „W tej sytuacji zapisu mojego w akcie notarialnym nie można traktować jako spadku na rzecz Mieczysława Jankowskiego, lecz jako częściową tylko spłatę długu, z tytułu jego należności za pracę w moim domu przez tak długi czas. Na co zwracam uwagę władz podatkowych!” – podsumował wyliczenia.

W testamencie było jeszcze post scriptum. Waldorff prosił wykonawców testamentu, by wyjednali u władz Kurii Warszawskiej zgodę na pochowanie go na Powązkach. „Niechaj też wraz ze mną spocznie Mieczysław Jankowski” – napisał.

Może to ten Jankowski sfalszował testament Waldorfa?

Witam drugiego syna w domu

Poznali się w 1938 r. w Warszawie. Jankowski przyjechał do stolicy odwiedzić kuzynkę. U wspólnej znajomej spotkał Waldorffa. – Po pierwszym spotkaniu wyjechałem do Wilna bez żadnego wrażenia – opowiadał krótko po śmierci Waldorffa Jarosławowi Kurskiemu. – A potem znów przyjechałem i zaczęły się wrażenia.

Pojechali razem do Krynicy Górskiej. Była z nimi jeszcze Krystyna Nowosielska, znajoma obydwu. Matka Waldorffa miała nadzieję, że syn ożeni się właśnie z Krysią. Na części fotografii z Krynicy Waldorff jest raz z piękną smukłą dziewczyną, na innych z młodzieńcem o kręconych blond włosach. Na niektórych są we troje. Można wyobrazić sobie napięcie narastające w trójkącie, w którym każdy z osobna dobrze wie, o jaką stawkę toczy się gra. W końcu postanowił powiedzieć matce prawdę.

– W pierwszej chwili była zrozpaczona, że Jerzy nie żeni się z Krysią. Ale gdy wyznał, co i jak, mama powiedziała: Jest, jak jest – opowiadał Kurskiemu Mieczysław Jankowski. Zgodziła się, żeby syn przyprowadził przyjaciela do wspólnego domu. Był 1 maja 1939 r. Gdy Jankowski wszedł do przedpokoju warszawskiego mieszkania przy ul. Piusa, czekała.

Już w progu przelamała lody: Witam drugiego syna w domu.

W roku 1939 w Polsce i w rodzinie katolickiej takie wypowiedzi ? Nie dość, że niesłychane to jeszcze w dodatku niemożliwe.

To była takiej klasy kobieta – opowiadał Mieczysław Jankowski. – Ona mnie rzeczywiście traktowała jak drugiego syna, zawsze z największą czułością. Reszta rodziny dowiedziała się o wszystkim podczas uroczystego obiadu, na który zaprosiła krewnych matka Waldorffa.

– Mówił mi o tym sam Waldorff – wspomina Zofia Kucówna. – Po dwóch stronach stołu dwie rodziny: Preyssowie i Szustrowie. I jego matka, wspaniała pani, oficjalnie przedstawiła Mietka, nie ukrywając, co łączy go z jej synem. To był rodzaj confirmacji.

Jerzy Kisielewski: – Nie wszyscy to od razu zaakceptowali. Mietek opowiadał mi o gehennie, jaką przeżył po przyjeździe do Warszawy. Większość rodziny Waldorffa albo nie zauważała go w ogóle, albo demonstracyjnie nie podawała mu ręki. Cierpiał, ale znosił to, bo Waldorffa kochał. Oprócz matki jeszcze tylko pani Kurmanowa, twórczyni szkoły dla panien, miała na tyle otwarty umysł, że Mietka zaakceptowała od razu.

Przysięgał, że nie zrobi bratu krzywdy.

Rodzice Jankowskiego od dawna domyślali się, że jedyny syn nie przyprowadzi do domu żony. Miał kilkanaście lat, gdy zaczął uciekać na lekcje baletu do szkoły tańca pani Muraszowej.

Jerzy Kisielewski: – W Wilnie kochał się w Mietku pewien tancerz. Po prostu oszalał na punkcie pięknego chłopca. Po wojnie też znalazł się w Warszawie i długo nie mógł pogodzić się z tym, że Mietek wybrał innego. Był zazdrosny, nienawidził Waldorffa, prześladował go, pisał donosy. A kiedy umarł, Waldorff wyrwał z gazety stronę z jego nekrologiem. Nie chciał, żeby Mietek ją zobaczył.

Ojciec Jankowskiego, sędzia sądu grodzkiego w Wilnie, pierwszy zorientował się, co dzieje się z synem. Powiedział kiedyś nawet, że ma czwartą córkę.

To już kompletne brednie !

Choć musiało być dla niego szokiem, kiedy po syna przyjechał znany już redaktor z Warszawy. Jerzy Kisielewski: – Jedną z sióstr Mietka, najstarszą i najbardziej zaniepokojoną, zaciągnęła Waldorffa do Ostrej Bramy i kazała przysiąc, że nie zrobi bratu krzywdy. Po wojnie rodzice Jankowskiego zamieszkali w Olsztynku. Jankowski i Waldorff jeździli do nich w odwiedziny.

– Byli szczęśliwi, uwielbiali go, Jerzy podbił ich serca – opowiadał po latach Mieczysław Jankowski Kisielewskiemu.

Późnym latem 1939 r. Jankowski pojechał do Wilna. Ale wrócić już nie mógł, wybuchła wojna. Rosjanie i Niemcy podzielili Polskę między siebie. Wilno i Warszawę odgradziły dwa graniczne kordony. W październiku Waldorff wyruszył po Mietka. Wracali tą samą drogą. Na Boże Narodzenie byli znowu w Warszawie. **Na Boże Narodzenie ?? geje ?? a jaką religię wyznawali?**

Ugotować, dobrać krawat

Podczas okupacji nie rozstawali się. Waldorff organizował pod szyldem Rady Głównej Opiekuńczej koncerty muzyczne, Jankowski chodził do nielegalnej Średniej Szkoły Baletowej (Niemcy dali zgodę tylko na podstawową) na rogu Mokotowskiej i Wilczej. Uczył się u legendarnego tancerza Leona Wójcikowskiego. Jesienią 1943 r. absolwenci szkoły składali publiczny egzamin.

– Na egzaminy końcowe Waldorff przyszedł z bukietem fiołków. Mietek to często wspominał – opowiada Jerzy Kisielewski.

Kiedy w lutym 1945 r. w Warszawie utworzono Zespół Artystyczny Centralnego Domu Żołnierza, a w nim grupę taneczną, Jankowski zgłosił się i został przyjęty. Występował w zespole przez kilka lat, później był tancerzem Teatru Wielkiego w Warszawie, wreszcie wykładowcą tańca klasycznego w Państwowej Szkole Baletowej w Warszawie.

Żył w cieniu sławnego partnera.

Wiesław Uchański, prezes wydawnictwa Iskry: – Tak naprawdę wielu ludzi nie wiedziało nawet, jak on ma na nazwisko.

A ci, co wiedzieli, i tak mówili: To jest Miecio od Waldorffa. Kiedy jeszcze tańczył i dostawał jakąś większą rolę, warszawka szeptała: Waldorff mu załatwił. Starał się nie prowokować takich sytuacji. Tak było, kiedy zaproponowano mu jedną z większych ról w „Krakowiakach i góralach” Wojciecha Bogusławskiego. Odmówił, choć była to dla tancerza propozycja kusząca. Nie chciał, żeby znów ktoś powiedział, że to dzięki Waldorffowi. Cierpiał, płakał, ale nie zatańczył.

– Ja nie byłem wielkim tancerzem – powiedział kiedyś Jerzemu Kisielewskiemu. – Ale ja byłem porządnym tancerzem.

W podstawowym dla powojennej historii polskiego baletu „Almanachu baletu polskiego 1945–1974” Ireny Turskiej, w rozdziale zawierającym z górną setkę biogramów najwybitniejszych polskich tancerzy, **Jankowskiego nie ma**. **Czy to nie jest dziwne?**

W pewnym momencie w ogóle przestał się z Waldorffem pokazywać. „Nawet w Operze nie stawali obok siebie, tylko pan Miecio gdzieś krążył, a Waldorff rozmawiał z kolejnymi prominentnymi osobami” – wspominał Jankowskiego Tomasz Raczek.

Dlatego tak niewiele osób wiedziało o ich związku. Po śmierci Waldorffa byli ludzie, którzy pytali Jerzego Kisielewskiego: A co z jego żoną? To Jankowski pełnił w ich związku rolę przypisywaną zwykle kobietom. Sprzątał, gotował i dbał, żeby Waldorff miał wyprasowany garnitur i odpowiednio dobrany krawat. Jerzy Kisielewski: – Robił to bez żadnej ostentacji, ale było wiadomo, jaka jest jego rola. W domu moich rodziców mówiło się: Trzeba sprawdzić, co dzieje się u Waldorffów.

Kiedy Waldorff zaprosił do mieszkania w alei Przyjaciół Artura Rubinsteina, który pierwszy raz po latach odwiedził Polskę, to Jankowski musiał stanąć na głowie, żeby w środku Peerelu wyczarować z sardynek, wystanych w delikatesach, wykwiwne przystawki.

– To z Mietkiem wymieniało się przepisami – wspomina Zofia Kucówna. – Robił bardzo dobre kabaczki, czego nie można powiedzieć o zapiekankach. Nie dał sobie wytłumaczyć, żeby nie przykrywać garnka, bo zapiekanka musi odparować. Ja tak robię i tak będzie, bo Jerzy właśnie tak lubi – mówił. I to był argument ostateczny.

Waldorff obdarowywał Mieczysława Jankowskiego z okazji kolejnych rocznic ich związku. Trzydziestej, czterdziestej, pięćdziesiątej. Na sześćdziesięciolecie chciał zamówić mszę i zorganizować przyjęcie. Było już przygotowane menu i lista gości. Nie zdążył. Zachorował i uroczystość trzeba było odłożyć. Okazało się, że na zawsze.

– Byłem kiedyś świadkiem ich rozmowy. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak musiała być dla Mietka dramatyczna – wspomina Jerzy Kisielewski. – Domyślał się pewnych rzeczy i któregoś dnia powiedział: Jerzy, jeśli ty potrafisz być także z kobietami, to może po prostu ożeń się. Waldorff odpowiedział: Nie, bo ja cię kocham.

Wykład z historii homoseksualizmu

Tylko raz napisał szerzej o homoseksualizmie. Nie własnym, Karola Szymanowskiego, w książce „Serce w płomieniach”. Czyli, że ktoś coś dopisał za niego.

To było trzecie wydanie książki, ale rozdział o homoseksualizmie kompozytora znalazł się w niej po raz pierwszy.

– Rozszerzył książkę na moją prośbę – wspomina Wiesław Uchański, który wydał „Serce...”.

– Przekonywałem go, że to właśnie on powinien o tym napisać. Ale nie pojawiła się żadna aluzja do jego własnego homoseksualizmu. Nowy rozdział „Serca...” to właściwie wykład z historii homoseksualizmu. „... upodobania chłopięco-męskie są równie dawne jak spisywane dzieje ludzkie” – pisał.

Sporządził przegląd najsłynniejszych gejów. I tu mamy plucie na antyk oraz wielkie postaci z historii Grecji i nie tylko, jak zwykle :

Poczynając od Achillesa, który mimo wielu nałożnic w najstraszniejszą rozpacz popadł, gdy zginął Patrokles, przez Sokratesa, związanego ze swoim uczniem i następcą Platonem, po Aleksandra Wielkiego. Powodem homoseksualizmu, zarówno w czasach starożytnych, jak i współcześnie, tłumaczył, jest zachłanność kobiet chcących mężczyzn na własność. A homoseksualiści nie znają uczucia zazdrości, chętnie wymieniają jednych chłopców na drugich, pisał, traktują rozładowanie seksualne jako oswobodzenie ciała od fizycznego napięcia. „...aby mózgi uwolnione od jakichkolwiek nacisków mogły spokojnie oddać się deliberacjom intelektualnym” – pisał.

Ułożona przez Waldorffa lista homoseksualistów była długa. Artur Rimbaud i Paul Verlain, Oskar Wilde, Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy Andrzejewski. Marcel Proust, André Gide, Jean Cocteau, Tomasz Mann, Piotr Czajkowski i Jean Genet. Michał Anioł Buonarroti i Leonardo da Vinci z większym upodobaniem tworzą akty męskie niż kobiece, pisał. Dla niego ich wybór był oczywisty. Nagi mężczyzna, pod którego skórą grają mięśnie, jest zachwycający. „...gdy tymczasem wiolonczelowa miękkość ciała kobiecego raczej mogła artystę nużyć swą monotonią nawierzchni” – pisał. **Kto to pisał ?**

– Chciał dodać jeszcze jeden przykład, ale zachowałem się jak cenzor i poprosiłem, żeby z niego zrezygnował – wspomina Wiesław Uchański. – Napisał ni mniej, ni więcej, że gejem był Jezus. Co więcej, uważał, że potwierdza to zdanie, które Jezus wypowiada do matki, wskazując na Jana: Matko, to jest syn twój. Powiedziałem mu: Jerzy, ty będziesz sobie spokojnie leżał na Powązkach, a mnie zabiją. Ustąpił.

Uważał, że powinien wytłumaczyć, skąd nagle ów poświęcony homoseksualizmowi rozdział. Chciałbym, by czytelnicy wyobrazili sobie wąską ścieżkę wiodącą między górskimi szczytami, pisał. Tę ścieżkę seksualnej dewiacji wydeptali wybitni, czasem nawet genialni artyści, którzy łączyli męską przyjaźń z doznaniem erotycznymi. Jakże smętnie nudna byłaby planeta bez ich sztuki. „Bądźmy więc tolerancyjni i tylko tyle...” – napisał.

Jerzy Kisielewski: – Liczył, że ten nowy rozdział będzie miał większy rezonans. Był bardzo zawiedziony, bo nikt go nie zauważył. On chyba naprawdę chciał wreszcie o tym publicznie opowiedzieć.

– Byli bardzo wzruszający w takiej wzajemnej trosce o siebie – wspomina Wiesław Uchański. – Pod koniec życia, kiedy Waldorff nie mógł już chodzić, Mietek, choć miał początki Parkinsona i trzęsły mu się ręce, przynosił dzwoniąc filiżankami herbatę i stawiał ją na stole. Ale później to Jerzy, siedząc przy stole, rozstawiał filiżanki i słodził herbatę. Mietka i swoją.

Jankowski miał znakomitą pamięć. O wiele lepszą niż Waldorff. Prawie każdy, kto przychodził do ich mieszkania, przeżywał podobną scenę. Waldorff zaczynał mówić, puszył się, rozkwitał, ale w pewnym momencie zatrzymywał się, bo coś mu umknęło.

Jerzy Kisielewski: – Wołał wtedy niskim głosem: Mietku (**Mietek był przygłuchawy – to jak tańczył? Nie słyszał muzyki?** i lepiej słyszał tony niskie), Mietku, jak nazywał się ten poeta-grafoman z Krakowa? A Mietek bez pudła podrzucał potrzebne nazwisko. Już po śmierci Waldorffa powtarzał mi wielokrotnie: To Jerzy nauczył mnie czytać. Byłem wyjątkiem wśród tancerzy, którzy woleli pisma ilustrowane. Waldorff bał się, co stanie się z Mieczysławem Jankowskim po jego śmierci. Prosił Kisielewskich, żeby zaopiekowali się nim.

Jerzy Kisielewski: – To była przez ostatnie lata jego obsesja. Uważał, że Mietek nie poradzi sobie sam. Bał się, że ktoś może go skrzywdzić. Niepokoił się, czy zostanie uwzględniony jego testament. Czy zaopiekujemy się Mietkiem.

Czuł, że odejdzie szybciej, choć obaj zachowywali się przez te ostatnie lata jak mickiewiczowscy dziad i baba, licytując się, kto umrze pierwszy. Kiedy Waldorff zmarł, Mietek chciał jak najszybciej pójść za nim. Mówił, że życie bez Jerzego nie ma sensu, nie chciał nawet wychodzić z domu. Dopiero po jakimś czasie zaczął porządkować rzeczy po Waldorffie. Znow zaczął czytać, wrócił jeszcze na parę lat do życia.

Kilka tygodni po śmierci Waldorffa spotkał się z Jarosławem Kurskim. W głębi mieszkania w alei Przyjaciół czekał człowiek ujmujący, który zgodził się rozmawiać nie bez wahań, w imię pamięci Jerzego, napisał Kurski. – 1 maja zeszłego roku minęło 60 lat, jak żyliśmy razem, dzień po dniu. Dziś chętnie poszedłbym w jego ślady, ale nie mogę – mówił Jankowski. – Muszę wykonać testament Jerzego: to do biblioteki uniwersyteckiej, to do muzeum, to do Lasek, to skatalogować, to uporządkować. Widzi pan, ileż tu roboty!

Rozsypcie moje prochy przy jego grobie

Na którąś Wielkanoc Marycie i Jerzemu Kisielewskim udało się wyciągnąć go na wieś. Podobało mu się, ale następny raz już nie chciał pojechać. Zgadzał się tylko na jakieś przejażdżki po Warszawie i wspólne święta z Kisielewskimi i Zofią Kucówną.

– Po śmierci Jerzego Mietek nie chciał kontaktować się z ludźmi.

Dlaczego?Może miał coś na sumieniu ?

Zachowywał się tak, jakby miał wyrzuty sumienia, że Jerzego nie ma, a on żyje nie wiadomo po co i musi patrzeć na to wszystko, co przedtem oglądał i przeżywał z Waldorffem – opowiada Zofia Kucówna.

Jerzy Kisielewski: – Mietek też najpierw mówił: Muszę być pochowany obok Jerzego, ale potem, jakby przeczuwając kłopoty, powiedział: Spalcie mnie i rozsypcie prochy przy jego grobie. Ostatecznie jednak urna z popiołami Mieczysława Jankowskiego spoczęła w grobie Waldorffa. Ksiądz opiekujący się Powązkami chciał tylko wiedzieć, czy rodzina nie będzie miała nic przeciwko temu.

Jerzy Kisielewski: – Pokazałem mu testament, w którym Waldorff prosił, żeby pochować Mietka razem z nim. I budował tę skomplikowaną konstrukcję prawną, żeby mieć pewność, że po jego śmierci nikt Mietkowi nie zrobi krzywdy. Błazniana tabliczka z imieniem i nazwiskiem Mieczysława Jankowskiego przetrwała na grobie Waldorffa kilka miesięcy. Potem zniknęła.

Jerzy Waldorff-Preyss herbu Nabram (ur. 4 maja 1910 w Warszawie, zm. 29 grudnia 1999 tamże) – polski pisarz, publicysta, krytyk muzyczny i działacz społeczny, w dwudziestoleciu międzywojennym luźno związany z obozem „młodokonserwatystów”. Był wychowankiem Gimnazjum w Trzemesznie oraz katolickiego Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Po zdaniu matury w Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu studiował w Konserwatorium Muzycznym w Poznaniu oraz na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego, który ukończył w 1932 z tytułem magistra prawa.

W późniejszych latach pracował w kancelarii adwokackiej Włodzimierza Kozubskiego, w której rozpoczął aplikację adwokacką i był zatrudniony do 1937.

Do zawodu prawniczego miało go zrazić wygranie przed sądem niesłusznej – jego zdaniem – sprawy klienta.

Kariera zawodowa

W latach 1936–1939 był recenzentem muzycznym dziennika „Kurier Poranny” i tygodnika „Prosto z Mostu”, dla którego przeprowadził m.in. wywiad z Léonem Degrelle'em. Działał wtedy w ruchu narodowo-demokratycznym. Współpracował także z redakcją tygodnika „Jutro” redagowanego przez jednego z czołowych działaczy Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga” – Wojciecha Wasiutyńskiego. W 1939 opublikował książkę zatytułowaną *Sztuka pod dyktando*, opisującą zasługi Benita Mussoliniego dla rozwoju Włoch. Powstała ona po podróży Waldorffa do Włoch w 1937.

Najpierw była publikowana w odcinkach w tygodniku „Prosto z Mostu”, a później została wydana w formie książkowej przez Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”.

Po 1945 związany z tygodnikiem „Przekrój”. Był komentatorem muzycznym Polskiego Radia oraz felietonistą tygodników „Świat” i „Polityka”. Autor dwudziestu książek, głównie poświęconych muzyce poważnej. Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Gej się udzielał społecznie - nie jest to możliwe

Działalność społeczna

Inicjator powstania Muzeum Karola Szymanowskiego w Zakopanem i Muzeum Teatralnego w Warszawie. Jego staraniem odrestaurowano pałac książąt Radziwiłłów w Antoninie koło Ostrowa Wielkopolskiego. Współorganizował też odbywający się w Antoninie i Ostrowie Międzynarodowy Festiwal „Chopin w barwach jesieni”. W styczniu 1976 roku podpisał list protestacyjny do Komisji Nadzwyczajnej Sejmu PRL przeciwko zmianom w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. **W 1974 Waldorff założył Społeczny Komitet Opieki na rzecz - uwaga- Ochrony katolickich - Starych Powązek.**

Z jego inicjatywy corocznie odbywa się tam 1 listopada kwesta na ten cel prowadzona przez osoby kultury i mediów. W 1999 komitet został uhonorowany Nagrodą im. prof. Aleksandra Gieysztoro ufundowaną przez Fundację Bankową im. Leopolda Kronenberga za działania zmierzające do ratowania zabytkowych nagrobków. W latach 1988–1990, a także po 1990 był członkiem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Wyróżnienia i odznaczenia

Był honorowym obywatelem Słupska (1986) i Warszawy (1992). W 1990 roku został laureatem Nagrody Kisiela. Prywatnie był przyjacielem Stefana Kisielewskiego, po śmierci którego napisał książkę *Słowo o Kisielu*. Za zasługi dla kultury polskiej w 1995 odznaczony został Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Życie prywatne

Matka Jerzego Waldorffa, Joanna (1892–1987) pochodziła z warszawskiej rodziny Szustrów. Ojciec, Witold Preyss (1856–1932), był ziemianinem. Niedługo po urodzeniu się Jerzego Preyssowie wyjechali do rodzinnej miejscowości Kościelna Wieś na Kujawach.

Przed I wojną światową sprzedali majątek i kupili kilka kamienic w Warszawie. Wybuch wojny zaskoczył rodzinę na wakacjach w Kołobrzegu, skąd przez neutralną Szwecję wrócili do Warszawy[; tam spędzili resztę wojny. Po wojnie zamieszkali w kupionym małym dworku w Rękawczynie w Wielkopolsce.

W autobiografii pt. *Taniec życia ze śmiercią* Waldorff wspominał, iż jego orientacja (homoseksualna) była powodem wydziedziczenia przez ojca.

Red. Białego Orła: Mam tę książkę , wydanie z roku 1984 gdy w Polsce nie było ruchu gejowskiego, i niczego takiego w niej nie ma ! Musiały to być późniejsze już przerabiane wydania.

Rzekomo :

Jego partnerem życiowym był tancerz Mieczysław Jankowski, z którym spędził 60 lat, od 1939. Partner opiekował się Waldorffem i prowadził dom. Para starała się ukrywać swój związek, unikając publicznego pokazywania się razem, a Waldorff przedstawiał w wywiadach Jankowskiego jako brata ciotecznego. 5 stycznia 2000 został pochowany na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, przy katakumbach (grób 80). W tym samym grobie pochowano również Mieczysława Jankowskiego.

.....
Na pierwszy plan wśród aktywności Jerzego Waldorffa (ur. 4 maja 1910 w Warszawie) wysuwa się jego działalność na rzecz ratowania polskich zabytków. Tradycja narodowa, podobnie jak i zabytki kultury, były mu niezwykle bliskie. Jak mówi jego przyjaciółka Zofia Kucówna: **"cokolwiek robił, myślał o dobru społecznym"**.

Portret Jerzego Waldorffa Jarosław Kurski 6 czerwca 2001

W autobiograficznej powieści "Fidrek" stary Waldorff daje przestrogi młodemu Waldorffowi - tytułowemu Fidrkwowi (tak wołano nań w domu i w szkole): "Słuchaj, Fidrek! Idąc swoją najtrudniejszą polską drogą, będziesz otoczony przez diabły w komzach, dzwoniące na różne msze, ale wszystkie będą mówiły, że pragną stworzyć raj na ziemi, i w imię przepięknych hasel będą chciały zmusić ciebie, żebyś odmawiał ich pacierze. Ty się nie daj przymusić!". Waldorff był jak stary, niewymiarowy kontrabas. Nie mieścił się w żadnym futerale. Ani za życia, ani po śmierci. Na trzy dni przed pogrzebem telewizyjna "Dwójka" wyemitowała program, w którym wyznawał przewrotnie - jak to Waldorff - że Boga nie ma. Scenariusz żałobnej ceremonii trzeba było zmienić. Warszawska Kuria Metropolitalna nie wyraziła zgody na mszę w kościele św. Krzyża. Msza odbyła się w kościele św. Boromeusza na Powązkach.

Na jego ukochanych Powązkach, gdzie już wiele lat temu upatrzył sobie miejsce - północną stronę Katakumb. I tam został pochowany. Ale za ogromną cenę. Dosłownie - cenę, gdyż aby Jerzy Waldorff, niezmordowany restaurator Powązek, mógł spocząć na cmentarzu, który ratował przez ćwierć wieku, trzeba było uiścić na rzecz kościelnej administracji cmentarza sumę - jak powiadają - ponad 10 tys. złotych. I nie o pieniądze tu chodzi, ale o fakt. Bulwersujący. Jednak gdyby kwotę tę potraktować jako "karę" za Waldorffowską niepokorność, to trzeba by uznać, że jest ona obraźliwie niska.

Pan Jerzy w swej magnackiej dumie mógłby się poczuć dotknięty.

- Nieraz go widziałam, jak uczestniczył w mszach św. dla środowisk twórczych. Nie mógł klęknąć, więc podnosił ku niebu swą kulę - jakby chciał zamanifestować, z jakiego powodu nie klęka. On rozmawiał z Bogiem. Czasami miał do niego pretensje, czasami wręcz jak biblijny Jakub z nim walczył. Ale było oczywiste, że wierzy - opowiada Zofia Kucówna.

Miłość z rozsądku

Ale opowiedzmy biografię Jerzego Waldorffa od początku. W "Tańcu życia ze śmiercią" przedstawia rodziców: "Matka musiała ponieść konsekwencje faktu, że wywodziła się z warszawskiej burżuazji [Waldorff zawsze podkreślał, że od słynnych Szustrów, do których należało pół Mokotowa - J.K.], tyle bogatej w pieniądze, co w przesady. Chociaż więc słuchała w Paryżu wykładów na Sorbonie, dodatkowo studiując malarstwo w Ecole des Beaux-Arts - warszawskie towarzystwo obwołało ją emancypantką upadłą, czymś w rodzaju kurtyzany z wyższej sfery, co sprawiało babce największe w świecie kłopoty z wydaniem napiętnowanej Joanny za męż. (...) Łaskawe nieba zesłały dopiero konkurenta, właśnie mojego ojca - Witolda. Partią nęcącą nie był i z hipoteki, i z wieku. Zawarto więc małżeństwo z rozsądku. On wniosła do pustej kasy fundusze, on dawał piękną towarzyską pozycję, a później, jak to bywa: rodzice zostali spokojnie szczęśliwym małżeństwem".

Ręka św. Wojciecha

"Stara sosna na wyrębie", jak mawiał o sobie ostatnio Waldorff, puściła pierwsze pędy w Warszawie w maju roku 1910, za panowania Imperatora Wszechrusi Cara Mikołaja II. Ale zaraz po ochrzczeniu w kościele św. Aleksandra rodzina Preyssów powróciła na Kujawy, do rodzinnej Kościelnej Wsi.

Nie na długo. Ojciec Waldorffa gospodarzem był marnym, wkrótce więc Kościelną Wieś sprzedano, za co nabyto dwa domy przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Rodzina zaś przeniosła się do małego dworku w Rękawczyni w Wielkopolsce.

Klimaty dzieciństwa Waldorff odmalował w autobiograficznych powieściach: atmosfera polskiego dworu, w której tak był rozkochany, rozterki młodzieńca oddanego na stancję do proboszcza w pobliskim Trzemesznie, przedsmak dorosłości w gimnazjum w Poznaniu - wszystko to przeżywa Waldorffowski Fidrek.

W Trzemesznie Waldorff dostępuje zaszczytu ocierania z kurzu relikwii - ręki św. Wojciecha; dokonuje pierwszych prób muzycznych, wygrywając walce Straussa na organach tamtejszej katedry. A dojdzie i do tego, że matka, która znienacka zjedzie do miasteczka, zamiast nad książkami zastanie syna w barze w podejrzanym towarzystwie. W Poznaniu studiuje prawo, równolegle uczęszcza do konserwatorium, którego jednak nie skończy. Dużo podróżuje, zwłaszcza po Włoszech i Francji.

Miłość

w

Amalfi

Któregoś razu Fidrek niebacznie nazywa jedną ze studenckich korporacji "stadem osłów". Zostaje wyzwany. Na szable! Sześć tygodni gorączkowej nauki fechtunku dało ten skutek, że Fidrek ranił przeciwnika - do krwi, czym ostatecznie upokorzył korporację. Jednym z sekundantów Fidra był Isio. Chcąc uniknąć zemsty korporantów, obaj chłopcy udają się w fundowaną przez matkę niezapomnianą podróż do Włoch. Fidrek wynajmuje pokój w młynie nad brzegiem morza, Isio mieszka w willi u zamożnej ciotki. Spędzają ze sobą całe dni.

W nagranej dwa lata temu audycji "Życie z muzyką w tle" Waldorff wspomina: - Isio to jest moja pierwsza miłość w życiu. I nie ma co ukrywać, że to była miłość do pięknego chłopca. Nie piszę w książce, jaka to miejscowość, ale mogę powiedzieć, że to wszystko działo się w Amalfi - przepiękna miejscowość na wybrzeżu, niedaleko Sorrento, naprzeciwko Capri. Więc w Amalfi rzeczywiście kochaliśmy się szalenie. I potem, to tak dramatycznie rozbiło się przez jego głupią ciotkę, która kiedyś była aktorką i postanowiła zagrać jeszcze jedną rolę na własną rękę, rolę, która rozbija naszą przyjaźń. I rzeczywiście rozbiła ją, raz na zawsze. Ta młodość dwóch chłopców zakochanych w sobie nad Morzem Śródziemnym to prawda. A najtragiczniejsze jest to spotkanie dwóch starych ludzi pod Tatrami, gdzie okazuje się, że to oni - ci, którzy się kiedyś kochali, kiedy mieli po osiemnaście lat. A teraz spotykają się dwie ludzkie ruiny. On nagle zapytał: "Czy pamiętasz Amalfi? Czy pamiętasz młyn?". A ja się nic nie odezwałem, nic nie miałem do odpowiedzenia, tylko łyzy w oczach i on też. Tak bywa w życiu.

Lufa w lufę

Ojciec Jerzego Waldorffa umiera w 1932 roku.

"Nienawidziliśmy się wtedy najszczerzej. Mieliśmy jednakowe temperamenty, owe szalone wybuchy, jak gdyby dwie armaty strzelały naraz do siebie - lufa w lufę. Ojciec zniechęcony do cna bojami wydziedziczył mnie wreszcie, o czym dowiedziałem się z testamentu po jego śmierci. A ja dopiero, gdy opuszczano nad nim wieko trumny, drogą bolesnego objawienia, dowiedziałem się w rozpacz, że co brałem za nienawiść, było tym większą, że tak trudną miłością do człowieka, który mnie opuszczał na zawsze" - wyznaje w "Tańcu życia ze śmiercią".

W 1933 matka wydzierżawia Rękawczyn, wraca do Warszawy. Wtedy to piewca polskiego dworu rozstaje się z rodzinnym domem. I nie zobaczy go więcej. W latach 70. po pobycie w Trzemesznie napisze: "W samej najostatniejszej chwili życia, będę jeszcze widział ulicę wiodącą do wylotu szosy, którą się jechało w stronę naszego Rękawczyna. Więc dlaczego opierałem się wyprawie do rodzicielskiego domu? Zbyt boleśnie i trudno byłoby mi tłumaczyć, że Rękawczyn, który znałem i noszę w sobie... Nigdzie więcej go nie ma". ("Taniec życia ze śmiercią")

W Rękawczynie nie ostał się kamień na kamieniu.

Ułan symulant

Powróćmy do lat 30. Zgodnie z wolą matki Waldorff odbywa służbę wojskową w szkole podchorążych w Grudziądzu. Do końca życia powtarzać będzie z pewną fanfaronadą: Ja jestem szwoleżer, ja jestem ułan!

Oglądam zdjęcia z tamtego czasu. Na jednym, przed domem w Poznaniu przy ul. Grottgera, kawalerzyści w bryczesach, wyglansowanych butach z cholewami, w pelerynach podszytych amarantowym (co wiemy skądinąd) atłasem. Zdjęcie drugie przerobione na pocztówkę. Ze szpitala. Waldorff w pidżamie. Roześmiane twarze. Na odwrocie: "**Życzenia Wesółych Świąt** i szybkiego powrotu do choroby i do szpitala, składają markierowicze!".

Jerzy nie lubił ćwiczeń - mówią mi jego przyjaciele. Symulował zapalenie ślepej kiszki. Na tyle udatnie, że mu ją zoperowano. Potem jeszcze kilka miesięcy służył w 11. pułku ułanów.

Narodowe pióro

Dziennikarskie ostrogi zdobywa w tygodniku "Prosto z mostu", waląc zwykle - jak to Waldorff - prosto z mostu. Stanisław Piasecki, naczelny pisma, konkurował z "Wiadomościami Literackimi". Jesienią 1938, razem z Jerzym Andrzejewskim i Konstantym Regameyem, Waldorff demonstracyjnie zrywa z Piaseckim w proteście przeciw antysemitycznym publikacjom.

Opowiadał mi jego znajomy, że Waldorff już przed wojną bywał niezmiernie hałaśliwy. Również jako krytyk muzyczny. Gdy dyrektorką opery przestała być pani Janina Korolewicz-Waydowa, słynna śpiewaczka, Waldorff pisał, że "nareszcie z tych starych, ale jarych łap wypuściła operę". Gdy koncertował w Warszawie światowej sławy pianista polskiego pochodzenia, Żyd, Ignacy Friedman, napisał w "Kurierze Porannym", że sposób, w jaki Friedman gra Chopina, "to jest ubój rytualny na wielkim polskim romantyku".

W "Kurierze" Waldorff nie tylko pisze, ale i redaguje kolumny kulturalne. Pisuje tam także Boy. - Jerzy dawał gońcowi dwa złote i sam szedł po artykuł do Boya, bo dla Jerzego Boy to była świętość. Żeleński niezmiernie był zdumiony, że goniec, który od niego odbiera przesyłki, tak świetnie mówi po francusku, ale nigdy nie wzbudziło to jego podejrzeń - wspomina przyjaciel.

Po wkroczeniu przez polskie wojsko na Zaolzie Waldorff wziął udział w wyprawie pisarzy, którzy mieli uwiecznić powrót ziem do macierzy. Jerzy Putrament, wówczas korespondent lewicowych lwowskich "Sygnałów", napisał: "W grupie antysemitów pisarzy szczególną uwagę zwracał nos Jerzego Waldorffa". Niebawem Waldorff ogłosił, że nie tylko nie jest Żydem, ale pochodzi ze wspaniałej pruskiej rodziny, której korzenie sięgają XIV wieku. To chwalenie się pruskim pochodzeniem, by odeprzeć zarzuty, że się jest Żydem - na kilka miesięcy przed wojną - przez wielu współczesnych odebrane zostało z niesmakiem.

- Nigdy nie należałem do żadnej partii, ale gdybym należał, to na pewno do prawicowej - wyznał Waldorff w jednym z ostatnich wywiadów.

Koniec lat 30. to nie był dobry czas dla demokracji. Ideowa młodzież poszukiwała nowych recept. W 1939 Waldorff wydaje książkę "Sztuka pod dyktaturą". Dowodzi, że sztuka może kwitnąć pod dyktaturą, bo "ustrój totalny" jest tylko "nową odmianą dawno znanych form rządzenia", a "wielcy despoci historii nie mniej krępowali swobodę jednostek od dzisiejszych dyktatorów. Papież Juliusz II był satrapą stokroć bezwzględniejszym od Hitlera. Ów Papież laską bił Michała Anioła i zamykał go po prostu w Kaplicy Sykstyńskiej, aby zmusić do malowania fresków. Dzięki temu mamy >Sąd Ostateczny<. Z drugiej strony znam szereg państw o ustroju demokratycznym, w których wielka sztuka nigdy nie istniała i nie istnieje".

Chyba nie miałbym odwagi zacytować tej książki, gdyby nie uprawnił mnie do tego sam Waldorff godnym podziwu świadectwem, jakie pozostawił na łamach "Polityki" trzy lata przed śmiercią: "Jestem dość stary i z kontem plusowym dość ciężkim, aby przyznawać się także do błędów i pomyłek życia.

Ja również byłem antysemitą za młodu.

Wyznawcą Dmowskiego (...)

A ja dziś, kiedy stary i świat tak potwornie wokół się zmienił, myślę, że co z tego, iż także matka Chopina i matka Mickiewicza były frankistkami? [należały do ruchu Żydów, którzy w XVIII wieku przechodzili na katolicyzm - J.K.]. Co z tego, że ci Najwięksi Polacy mieli w sobie krew żydowską, skoro nie ma krystaliczniej brzmiącej polszczyzny jak w wierszach Mickiewicza i z samej ziemi, z korzeni wierzb polskich wypływającej muzyki jak Polonezy i Mazurki Chopina czy >Pieśni Kurpiowskie< i >Stabat< Szymanowskiego. Dziękujmy Bogu, że ich nam dał!".

Drugi syn

Brak dat i miejsc:

Poznałem Mieczysława Jankowskiego - **kiedy i gdzie ?** - najbliższego przyjaciela Jerzego Waldorffa. Tancerza Teatru Wielkiego, potem wykładowcę w szkole baletowej. W głębi przedwojennego mieszkania w al. Przyjaciół czekał na mnie człowiek ujmujący, błyskotliwy, o fenomenalnej pamięci, który zgodził się ze mną rozmawiać nie bez wahań, w imię pamięci Jerzego.

- Jerzy się z tym nigdy nie krył i uważam, że robił dobrze. Mówił, że nie lubi zakłamywać siebie. 1 maja zeszłego roku minęło 60 lat, jak żyliśmy razem, dzień po dniu. Dziś chętnie poszedłbym w jego ślady, ale nie mogę. Muszę wykonać testament Jerzego: to do biblioteki uniwersyteckiej, to do muzeum, to do Łasek, to skatalogować, to uporządkować. Widzi pan, ileż tu roboty!

Jak poznałem Jerzego? Był rok 1938. Przyjechałem do Warszawy, do mojej kuzynki, spotkaliśmy się u wspólnej znajomej. **kiedy i gdzie ?**

Jednak po pierwszym spotkaniu wyjechałem do Wilna bez żadnego wrażenia. A potem znów przyjechałem i rozpoczęły się wrażenia...

Siedzimy nad stołem pełnym rozrzuconych zdjęć. Z opasłej koperty opisanej ręką Jerzego Waldorffa: "Historia naszej przyjaźni" - wyciągamy fotografie.

- To z Krysią Nowosielską, 1938 rok, Krynica Górską. [Przystojna kobieta siedzi między dwoma młodzieńcami]. Nasza przyjaciółka. Mama Jerzego chciała, by się z nią ożenił. Jerzy postanowił w końcu przedstawić mi swojej matce. Pamiętam jak dziś. Był 1 maja 1939 roku. W pierwszej chwili była zrozpaczona, że Jerzy nie żeni się z Krysią.

Ale gdy wyznał, co i jak, mama powiedziała: Jest, jak jest. **A kto to słyszał lub widział ? Tylko ten gej Jankowski ?**

I gdy wszedłem do ich domu na ulicy Piusa, w przedpokoju powitała mnie wspaniała, dystygowana pani. Już w progu przełamała lody: Witam drugiego syna w domu. To była takiej klasy kobieta. Trwała między nami wielka przyjaźń, aż do kresu jej życia. Spędzaliśmy razem wakacje, odwiedzałem ją w Poznaniu. Ona mnie rzeczywiście traktowała jak drugiego syna, zawsze z największą czułością. To rzadka rzecz w tamtych czasach.

Przez zieloną granicę

- A to wakacje 1939. Znów Krynica Górská, balkon Willi Zośka, gdzie mieszkaliśmy. Wojna już wisiała w powietrzu. Powiedziałem do Jerzego: jadę do Wilna pożegnać się z rodzicami i pierwszym pociągami wracam do Warszawy. Ale wrócić już nie zdążyłem.

Waldorff zgłasza się do punktu mobilizacyjnego na Pradze. Nie zostaje przyjęty, prawdopodobnie z braku broni. Czeka na przyjaciela na Dworcu Wileńskim - jeden dzień, drugi, trzeci. Ale ten nie przyjeżdża. Postanawia iść z plecakiem do Wilna przez zieloną granicę. Maszeruje w towarzystwie Tyszkiewicza, który szedł po swoją żonę Hanke Ordonównę, i Janka Ekiera - znakomitego pianisty, który szedł po narzeczoną Danke Szaflarską. Potem już razem z Mieczysławem wraca do Warszawy, ukrywając się po rowach, unikając bolszewickich łapanek. Na Boże Narodzenie 1939 docierają na ul. Piusa.

Pod okupacją nie przelewało się. Pewnego dnia matka Waldorffa powiedziała: "Synu, pójdź do hipoteki. Zdaje mi się, że mam jakieś place po dziadku Szustrze". I okazało się, że rzeczywiście są trzy. Z czego dwa udało się sprzedać jakiemuś zamożnemu młynarzowi. Dzięki temu Jerzy i Mieczysław mogli pomagać innym, np. Natalii Gałczyńskiej, za co Konstanty słał do nich z obozu jenieckiego listy z podziękowaniami (obecnie przekazane do Muzeum Literatury).

Waldorff zawsze powtarzał, że telewizja stoi na jego placu i że czasami go kusi, by wytoczyć jej proces i postawić tam burdel z prawdziwego zdarzenia.

- Wynajęliśmy przy Kredytowej mieszkanie w oficynie. Obok mieszkał reżyser, dokumentalista Antoni Bohdziewicz z żoną i z córeczką. On z kolei wynajmował pokój Czesławowi Miłoszowi i Jance Cękałskiej. Mieszkaliśmy tak ściana w ścianę - wspomina pan Mieczysław.

A wy co? Książ?

Waldorff stał na czele grupy muzyków, która współpracowała z Radą Główną Opiekuńczą, organizacją uznawaną przez Niemców jako dobroczynna. RGO wymogła na Niemcach zezwolenie na koncerty.

- W czasie wojny byłem na koncercie w kawiarni na Nowym Świecie - wspomina Antoni Marianowicz, prezes ZAiKS, wieloletni redaktor "Szpilek". - Na dwa fortepiany grali Lutosławski z Panufnikiem, a organizatorem i konferansjerem był Jerzy Waldorff. Wtedy zobaczyłem go pierwszy raz i słyszałem o nim dobre rzeczy.

Po koncertach odbywały się u Waldorffa małe przyjęcia, na które przychodzili Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Bohdziewicz, Rudnicki.

- Regamey, niezwykle erudyta znający 27 języków, utrzymywał się z pędzenia bimbru. Był tak mocny, że pewnego dnia wszyscyśmy się potwornie popili. Pamiętam, że Andrzejewski zawisł na świeczniku i huśtał się - szczęśliwie świecznik był mocny, a Andrzejewski chudy - opowiada pan Mieczysław.

- W czasie Powstania Warszawskiego byliśmy w Łomiankach odcięci od Warszawy - wspomina dalej pan Mieczysław. - Stolica płonęła, dolatywały do nas popioły, resztki spalonych gazet, wieczorem nad miastem stała krwawa łuna - to był koszmar. Na strychu Jerzy prowadził nasłuch radiowy, a na parterze urzędował Wehrmacht. Co dzień rano przyjeżdżała rowerem dziewczyna z Puszczy Kampinoskiej z bańką na mleko i zabierała maszynopisy Jerzego.

Gdy zaczął się ostrzał artylerii sowieckiej, Niemcy wsadzili nas na ciężarówkę i wywieźli. Po wielu perypetiach dotarliśmy do Stawisk, do Jarosława, który powiedział: "Witam was jak w domu". Po tygodniu w Stawiskach zrobiło się ciasno. Podawano jedzenie: trzy ziemniaki i kawałek śledzia, ale zawsze na wspaniałej srebrnej zastawie. Pojechaliśmy do Ojrzanowa, który należał do Dziewulskich, z którymi jestem spokrewniony. Tam nas zastała "wolność". Przyjechały rosyjskie czołgi. Jerzy poszedł na zwiady. Miał taki cieciowski kozuch, czapę z zajęcy. Maszerował w drewniakach. Przed pałacem stał już sowiecki oficer i agitował. Zobaczył Jerzego w tym kozuchu, z tym nosem, i zapytał: "A wy co, książ z dworu?".

Faszystowski znajomy

Po wojnie Waldorff trafia do Łodzi, gdzie obejmuje stanowisko referenta ds. kultury. Wtedy ktoś składa donos do "Głosu Ludu", że Waldorff to burżuj i faszysta. W przeddzień publikacji zostaje ostrzeżony. Uciekają do Warszawy, gdzie Waldorff oddaje sprawę do tzw. Kolegium Wyjaśniającego. Kolegium orzeka, że Waldorff w czasie okupacji zachowywał się nadzwyczajnie, wspomagał ludzi kultury.

W "Głosie Ludu" ukazało się sprostowanie. Ale do Łodzi Waldorff już nie wraca.

Stefan Kisielewski przekazuje mu ofertę pracy w "Przekroju". Kisiel w "Abecadle" wspomina: "Redaktor Marian Eile mówił, kiedy ja odchodziłem, że przydałby się ktoś, kto by się znał na muzyce. Ja mówię: Mam takiego kandydata. - A kto to jest? Ja się długo wahałem (...) I wreszcie mówię: - To jest Jerzy Waldorff. A Eile odpowiada: Mam dosyć tych pańskich faszystowskich znajomości. Po czym jednak zgodził się na tego Waldorffa".

Waldorff redagował ostatnią stronę i miał stały felieton. Eile, dawny sekretarz redakcji "Wiadomości Literackich", pozyskał dla "Przekroju" wielkie nazwiska: Słonimskiego, Dąbrowską, Makuszyńskiego, Andrzejewskiego, Osmańczyka, Iwaszkiewicza, Brandysa, Jasienicę, Kotta, Tuwima, Broniewskiego, Staffa i Gałczyńskiego. Choć kraj pogrążał się w stalinizmie, "przekrojowcy" zachłysłni się życiem, jakby pragnęli odreagować okropności wojny.

Menu a la "Przekrój"

W krakowskiej restauracji Pod Snopkiem unosił się duch przedwojennego ziemiaństwa. Podawano znakomite jedzenie i wina dobrych roczników. "Przekrój" miał tam własny stolik, a przy nim: Janka Ipohorska, rysownik Janusz Maria Brzeski, pan Mieczysław i Jerzy Waldorff. Znamienite to grono podmieniło kiedyś kartę dań, wpisując tam gatunki dość obsceniczne: jądra w szodonie, hemoroidy w śmietanie itd. I oto do restauracji wkracza dystygowana para. On przyjmuje od kelnerki trefne menu i nie zaglądając do środka podaje towarzysze: "Wybierz sama kochanie". Kobieta zdębiała. "Trudny wybór - powiada - może ty spróbujesz". Wybuchła awantura. Godzono się przy kieliszku do rana.

W tym czasie Waldorff dorabiał redagowaniem programów Filharmonii Krakowskiej. Zamówił kiedyś tekst u Stefana Kisielewskiego, a jako że ten miał zakaz publikacji, podpisał go pseudonimem. Dopiero po wydrukowaniu, ktoś dokładnie przeczytał podpis: "dr J. E. Baka". Waldorffa wyrzucili z Filharmonii.

Średnio-nieczne felietony

W maju 1950 Waldorff odejdzie z "Przekroju" i opuści Kraków. Zanim to nastąpi, pod Wawel przyjeżdżać będzie coraz częściej Jerzy Borejsza. "Sadził się w którymś z ciemniejszych pokoi Hotelu Francuskiego, skąd wzywał kolejno na tajne rozmowy co bardziej wziętych dziennikarzy, którzy nie opowiedzieli się jeszcze dość wyraźnie za wspaniałościami ustroju komunistycznego. Więc i ja - przyznaje Waldorff w "Moich lampkach oliwnych" - miałem taką tajną rozprawę, w wyniku której, walcząc o każde słowo, musiałem napisać felieton bodajże przeciwko księżom, co wzbraniłi się włączyć do grupy >Księży patriotów<. Po tym średnioniecznym felietonie [i kilku innym przeciw oficerom AK - J.K.] - niech mi Bóg, jeśli jest, odpuści, bo Kisiel już odpuścił - zaczął składać mi wizyty w redakcji pewien urzędnik".

Dawał on Waldorffowi do zrozumienia, że jego działalność w RGO to były chytrze maskowane działania na rzecz USA i że Waldorff najlepiej zrobi, jeśli się z "Przekroju" i Krakowa wyniesie.

Osiada w Warszawie już na stałe. Występuje teraz co wieczór w głośnym kabarecie Stańczyk o opozycyjnym zabarwieniu - czytając swoje ostro satyryczne teksty. Jest rok 1954. Dopiero co zmarł Józef Stalin.

Waldorff rozwija medialne talenty przy radiowym mikrofonie, także jako muzyczny publicysta "Świata", potem "Polityki". Jest bywalcem muzycznych salonów. W Operze czy w Filharmonii zawsze czeka na niego fotel.

Kisiel w "Abecadle" pisze: "Waldorff na muzyce to się mniej znał".

- To prawda, bo z nich dwóch, to na muzyce znał się Kisiel - mówi Zdzisław Sierpiński, wieloletni krytyk muzyczny "Życia Warszawy" - tylko że jak Waldorff pisał o muzyce, to wszyscy się zachłystywali. A Kisiela się czytało mniej więcej tak jak Mycielskiego czy Iwaszkiewicza: intelekt, refleksja, esej, głębia. Cokolwiek ludzie wiedzą o muzyce, to z "Sekretów Polihymnii", która miała kilkanaście wydań. Waldorffa czyta się dla języka, ciętych żartów, barwnych porównań. Ludzie z końca świata lecieli, żeby posłuchać jego radiowego felietonu. Słuchali i ryczeli ze śmiechu. On się bawił muzyką jak zongler piłeczkami. Gdyby mnie ktoś zapytał, jaka jest największa zasługa Waldorffa - to ta, że on za rękę doprowadzał ludzi do słuchania muzyki, przy czym oni sami nie wiedzieli, kto ich do tej muzyki pcha. To on zapępiał opery i sale koncertowe.

Prof. Roman Jasiński, wielki znawca muzyki, z Waldorffem zresztą zaprzyjaźniony, w dwutomowej "Kronice Muzycznej Warszawy" pisze: "Szkoda, że bez porównania bardziej kompetentne i fachowe recenzje Konstantego Regameya - znakomitego krytyka, kompozytora - są suche i nie mogą rywalizować z pisarstwem Waldorffa".

Na zebraniu sekcji krytyków muzycznych, na które zeszło się całe środowisko, Waldorff powiedział: "Ja chyba zażądam, żebyście do mnie Wuju mówili, bo wszyscy gówniarze jesteście. Co wyście przeżyli i co wy pamiętacie". Sienkiewiczowski "Wuj" przyłgnął do Waldorffa; środowisko krytyków muzycznych uważało go za takiego Zagłobę.

- Aż do czasu, kiedy Erhardt zasunął Wujowi felietonem w "Ruchu Muzycznym" pt. "Dlaczego Wuj łże?" - wspomina Sierpiński. - Była to odpowiedź na złośliwy felieton Waldorffa pt. "Muchy". Zrobiła się chryja i od tego czasu nie wolno było na Wujka mówić Wuju. Jedynym partnerem dla Wujka w całej naszej bandzie był Erhardt.

Ludwik Erhardt (ur. 29 kwietnia 1934 w Kościeszkach – polski muzykolog i dziennikarz muzyczny. W 1956 ukończył studia z zakresu historii i teorii muzyki na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1958 był członkiem redakcji „Ruchu Muzycznego”, od 1960 sekretarzem jego redakcji, następnie zastępcą redaktora naczelnego, a w latach 1971–2008 redaktorem naczelnym pisma. Jest też członkiem Związku Kompozytorów Polskich.

Mówił z zawiści , bo nie wiadomo kim był z pochodzenia ten Erhardt:

Ludwik Erhardt, redaktor naczelny "Ruchu Muzycznego", mówi: - Waldorff nie był krytykiem muzycznym. W krytyce musi być jakiś element oceny dzieła czy wykonawstwa, element refleksji estetycznej. Nie wystarczy napisać, że coś jest wspaniałe czy szkaradne. Waldorff na temat samej muzyki się nie wypowiadał. Pisał tylko na tematy okółomuzyczne. A jego rzekoma erudycja nie wykraczała poza zakres popularnej encyklopedii muzycznej. - Człowiek w życiu ma jedną wielką miłość, jedną tylko, a reszta to mogą być miłości, skoki w bok, romanse, zdrady - ale ta jedna miłość trwa - mawiał Waldorff. Jedyną miłością Waldorffa w muzyce był Karol Szymanowski.

Waldorff tak się w nim rozkochał, że można odnieść wrażenie, iż byli bliskimi znajomymi. Prof. Jasiński powątpiewa jednak, czy Waldorff mógł Szymanowskiego choćby poznać.

Kolejny szpion i komuch.

- W przedwojennych recenzjach potrafił zdrowo dogryźć konserwatywnym mamutom nienawidzącym Szymanowskiego, a w kontekście jego osoby potrafił nawet wyszydzić ich antysemickie fobie - opowiada Antoni Marianowicz.

- Jeśli chodzi o Szymanowskiego, to Waldorffowi nie można odmówić pewnych zasług - przyznaje Ludwik Erhardt - ale też nie można twierdzić, że to on spopularyzował jego muzykę. Już raczej zrobiła to Teresa Chylińska, która od dziesięcioleci uparcie opracowuje i wydaje dzieła Szymanowskiego. Tę muzykę długo przyćmiewał Strawiński i neoklasycyzm, wreszcie jednak przysłała pora na taką ekspresję. Szymanowskim zainteresowano się nie tylko u nas. Nagranie "Króla Rogera" powstało przecież w Anglii. Waldorff na tę falę zainteresowania Szymanowskim zręcznie wskoczył i sporo dla tej muzyki zrobił.

Jedyny w Polsce pomnik Karola Szymanowskiego stanął z inicjatywy Waldorffa. Wiele lat temu urządził w Słupsku doroczny festiwal pianistyki polskiej.

- Bądźmy obiektywni - prostuje Ludwik Erhardt. - Waldorff nigdy nie protestował, gdy mu przypisywano autorstwo rozmaitych przedsięwzięć, ale to nie on wymyślił festiwal w Słupsku. Twórcą tego festiwalu było Słupskie Towarzystwo Muzyczne z panem Bytnerowiczem na czele, który zaprosił Waldorffa dopiero na drugą czy trzecią edycję. Waldorffowi to się spodobało i zaczął tam przyjeżdżać, wygłaszać prelekcje. Zresztą, nie przeczę, popularyzował ten festiwal.

Gdy trzeba było spopularyzować jakąś ideę, wszyscy biegli do Waldorffa. Dlaczego? - pytam Zofię Kucównę.

- Bo umiał przekonać. Więcej, to był rasowy aktor. Kiedy wchodził na salę, to się w jednej sekundzie przeistaczał. Ja jestem z tego zawodu. Leje się nam z nosa, mamy czkawkę, złapie nas lumbago, ale z chwilą wejścia na scenę wszystko mija. Podobnie było z Waldorffem. On się nieprawdopodobnie mobilizował, odsuwał mikrofon i głosem obejmował całą salę. To był magiczny człowiek. Fenomenalnie wyczuwał widownię, słuchacza, czytelnika. Miał instynkt.

Szymanowski był miłością Waldorffa, ale mistrzem - prof. Stanisław Lorentz. To on namówił go, by ratował Atmę - willę Szymanowskiego, potem Antonin Radziwiłłow - miejsce kultu Chopina. Dzięki swej aktywności radiowej, dzięki niezwykłemu darowi przekonywania Waldorff zdobył ponad 3 tys. eksponatów dla tworzącego się muzeum teatralnego w Warszawie, kamienicę dla muzeum instrumentów muzycznych w Poznaniu. Dzięki niemu odbudowano Pałacyk Szustra na Mokotowie, gdzie mieści się Warszawskie Towarzystwo Muzyczne.

Powązki

- Waldorff przypomina mi żubra. Jest taki bardzo polski, a z drugiej strony szedł jak czołg, jak już się brał za jakąś sprawę, to nie odpuścił - mówi Sierpiński.

Inna rzecz, że jak już coś załatwił, to więcej do tematu nie wracał, brał się do czegoś nowego. Gdy po latach przybył do Zakopanego, zaproponowano mu, by pojechał zobaczyć Atmę. On się zachnął i powiedział: - Nie. Ja jestem jak suka. Raz urodzone dzieci porzucam.

25 lat temu prof. Lorentz zapytał Waldorffa: "Jerzy, dlaczego ty nie założysz Komitetu na rzecz Odnowy Powązek?". I Waldorff założył. Od dziecka chodził na cmentarze. W jego książkach natknąłem się na kilka detalicznych opisów pogrzebów. Nieraz pisał, że nie ma już dawnej Warszawy, a "po jej mieszkańcach została jeno pamięć i kamienne świadectwo Powązek".

Zjawił się tu po raz pierwszy, dzieckiem, na pogrzebie babki Szustrowej. W "Tańcu życia ze śmiercią" zawarł przejmujące wspomnienie Powązek z okresu okupacji: "Stare grobowce rozprute, wśród lejów potrzaskane krzyże i kamienne anioły. Na jednym ze zwalisk trumna wyrzucona z głębin tumbi. W trumnie szkielet - zapewne młodej dziewczyny. Wzdłuż piszczeli rąk ocalałe z rozkładu białe rękawiczki skórkowe. Prawe ramię przytrzymało spływającą z czaszki aż do kolan złotą falę włosów i te włosy po stuleciu dobyte z martwoty trumny ożyły i w lekkich porywach wiatru falowały, lśniły, mieniły się w naszych napelnionych grozą oczach".

Potem z Powązek ostrzeliwano powstańczą Warszawę. Gąsienice niemieckich czołgów nie mieściły się w wąskich cmentarnych alejkach. Dawni właściciele zabytkowych grobów albo zmarli, albo wyemigrowali, albo zubożeli. Należało szukać nowych opiekunów cmentarza. I Waldorff ich znalazł.

Pomysł podsunęło mu wspomnienie dawnych lektur: "Lalki" i "Kronik" Prusa. "Tych stronic, na których opisane były dawne kwesty warszawskie z udziałem panny Izabelli Łęckiej oraz jej księżnych i hrabin - ciotek". Dawną kwestującą arystokrację Waldorff postanowił zastąpić nową elitą, "pieczętującą się talentami i wiedzą".

- Potrafił wokół siebie zgromadzić nie tylko społeczników, architektów, konserwatorów, ale i kwiat polskiego aktorstwa - mówi dr Wojciech Fijałkowski z Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. - Każdy miał ambicje uczestniczyć w tej zbiorce. Niektórzy nawet za miarę popularności biorą, kto więcej wykwestuje.

- Jak on osobiście zadzwonił, to nie można było odmówić. Jemu się nie odmawiało - mówi Zofia Kucówna.

Kiedyś na promocji książki Magdy Zawadzkiej Waldorff wstał i dudni: - Moja droga kwestarko, już myślę o tym, jak kiedyś spotkamy się na tym cmentarzu, który razem ratujemy. I kiedy będziemy leżeli niedaleko siebie, to będę się do pani zwracał: "Sąsiadeczko, uchyl wieczko".

Sala ryczała ze śmiechu. Waldorff kokietował i adorował "swoich aktorów". Alinę Janowską, jedną z najskuteczniejszych kwestarek, potrafił nazwać "najlepszą hieną cmentarną".

Ale choć trudno wyobrazić sobie bardziej szczytny cel niż ratowanie Powązek, Komitet z początku nie spotykał się z entuzjazmem ani ze strony Kościoła, ani władz. Kuria patrzyła z ukosa na "komunizowanie" cmentarza, a komuna z kolei uważała, że Waldorff odnawia jedynie pomniki ziemian i najzamożniejszych mieszczan.

Przez 25 lat działalności Komitet uratował od zniszczenia ponad tysiąc nagrobków. To zasługa Jerzego Waldorffa.

Jak on to robił?

Na czym polegał fenomen skuteczności Waldorffa społecznika? - pytam dr. Wojciecha Fijałkowskiego.

- Jego się po prostu bano. Jego głosu i pióra - mówi Fijałkowski. - Potrafił być tak złośliwy, że suchej nitki nie zostawiał na adwersarzu. Niedawno wyłonił się problem reprivatyzacji. Waldorff uważał, że takie historyczne zbiory, jak w Wilanowie, Nieborowie czy Gołuchowie, powinny pozostać własnością narodową. Wszedł w spór z jednym z ziemian, który argumentował, że "gdyby sam utracił majątek i należał do >naszej sfery<, toby się inaczej zachowywał". Waldorff się wściekł, ale nie okazał tego: "Proszę pana, ja miałem taki dwór, utraciłem go i nie dopominam się zwrotu, a chcę panu powiedzieć, że jestem największym z polskich arystokratów, bo mam brwi Burbonów, nos Hohenzollernów, wargi Habsburgów i jajo Kolumba!".

Dlatego nikt nie chciał z nim zadzierać. W felietonach w "Polityce" rozprawiał się z opieszałymi biurokratami. Potrafił zadzwonić do szefa takiego urzędnika. Mówił, że takiego podwładnego by na zbitą mordę wylał i że przed wojną takie rzeczy były niemożliwe. Ale też Waldorff nie dzwonił w błahych sprawach.

Często był klientem Ministerstwa Kultury i Sztuki, bo to ono subsydiowało organizacje społeczne. I co chciał, to załatwiał, mimo że pozostawał niezależny. Najlepiej ujął to Kisiel, pisząc, że Waldorff "zawsze się umiał trzymać na takim niezależnym stanowisku, bez prowokowania, ale zawsze osobny".

Tu jest dyskredytowany w typowy komunistyczny sposób:

Wiedział, że nie może z władzą drzeć kotów, ale miał własny pomysł na PRL: kultywowanie manier arystokratycznych. **Nosił się jak hrabia, jakby nie przyjmował do wiadomości, że żyje w PRL.**

I to władza zaczęła snobować się na Waldorffa. Nagle dzwonił minister kultury i pytał, czy Waldorff nie wygłosiłby wykładu na temat kultury muzycznej dla partyjnej wierchuszki. I na Waldorffie to robiło wrażenie. - Pan pozwoli, że ja do pana będę mówił >chłopcze<, jako że jestem od pana o wiele, wiele lat starszy. I powiem panu więcej: jestem tak stary, że pamiętam Pana Boga, jak jeszcze brody nie miał - zwracał się do jednego z dygnitarzy schyłkowego PRL-u.

Jednakże, gdy tylko Waldorff przekraczał cienką czerwoną linię zbytniej poufałości z władzą, Kisiel - jego przyjaciel - natychmiast przypiekał go jadowitym dowcipem. Syn Kisielea, Jerzy, wspomina:

- Kiedyś na koncercie Waldorff mówi do ojca: "Wroński (minister kultury) zaproponował mi przejście na >ty<". "I co, przeszedłeś?" - dopytywał ojciec. Na to Waldorff z dumą: "Wypiliśmy bruderszaft". I widzę po minie ojca, że mu się to nie podoba. W przerwie koncertu podchodzi do Waldorffa: "Jerzy, muszę ci powiedzieć, że w Polsce za kolaborację to zawsze była czapa". Waldorff się skwasił. Wrócił na miejsce. Siedzieliśmy dwa rzędy za nim. Muzycy zaczynają stroić instrumenty, a ojciec woła: "Jerzy! Jerzy!". Waldorff odwraca głowę, i wtedy ojciec ostentacyjnie piłuje palcem po gardle.

Dwa tygodnie nie rozmawiali.

Utrzymywanie dystansu i do władzy, i do opozycji było życiową umiejętnością Waldorffa. Podkreślanie dystansu wobec władzy służyła jego ukochana anegdota: - W PKiN odbywał się zjazd literatów. Stałem ze Słonimskim na korytarzu i nagle, w czasie przerwy, podchodzi do nas facet i pyta po rosyjsku: "Panowie, gdzie tu można zrobić siusiu?". Słonimski na to: "A kim pan jest?". "Jestem prezesem związku literatów radzieckich". "Aaaa, to pan może wszędzie!".

Byli w PRL dwaj ludzie na wariackich papierach. Kisiel i Waldorff. Jeden i drugi pisali takie rzeczy, że gdyby ktokolwiek inny próbował, toby nie przeszło. I była to też wielka przyjaźń, choć złośliwi komentowali, że bardziej to była przyjaźń Waldorffa do Kisielea niż vice versa.

Mogę ci to załatwić

Przyjaźni ze Stefanem Kisielewskim Waldorff poświęcił książkę "Słowo o Kisielu".

Mieli różne okresy. Nieraz siedzieli godzinami w SPATiF-ie i pili wódkę. A potem bywało, że widzieli się raz na kilka miesięcy. Kisiel wystawiał tę przyjaźń na ciężkie próby.

Tu jest dyskredytowany w typowy komunistyczny sposób przez komucha Kisielea :

Podśmiewał się z ziemiańskiej pozy Waldorffa. Kiedyś popił na jego imieninach, usnął na kozetce. W środku nocy zdjął portrety nobliwych antenatów Waldorffa, które zdobiły ściany jego mieszkania, i przykrył się nimi. - Co ty robisz?! - krzyknął pan Mieczysław. Kisiel na to: - Zimno, a przodki grzeją.

W marcu 1968 Kisielewski został ciężko pobity przez "nieznanych sprawców", niedługo po tym, jak nazwał PRL krajem "dyktatury ciemniaków". Gdy tylko Waldorff się o tym dowiedział, przybiegł do przyjaciela. Uderzył w pryncypialny ton: "Żeby w tym kraju takiego człowieka jak ty ordynarnie pobić na ulicy, to jest zdziczenie! To mnie tak przeraża, że wolałbym, żeby to mnie pobito!" Na to Kisiel, spoglądając podbitym okiem: "Jerzy, jak chcesz, to mogę ci to załatwić!". Waldorff się wściekł: "Z tobą nawet w tragicznych momentach nie można poważnie rozmawiać!".

Waldorff stronił od opozycyjnych akcji i polityki. Jednak w 1976 podpisał list protestacyjny przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, które dekretowały kierowniczą rolę partii i wieczną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Następnego dnia nie wpuszczono go do radia. Wtedy to Kisiel natychmiast zjawił się u niego.

Tylko dorsze i dorsze

Na temat "życie codzienne Jerzego Waldorffa" można by napisać dysertację. Osobny rozdział poświęcony byłby zagadnieniu "Motoryzacja a Jerzy Waldorff". Gdy do Polski zawitał gierkowski dostatek i pojawiły się pierwsze pachnące Zachodem fiaty 125p, Waldorff zachorował na taki samochód. Ludwik Jerzy Kern wspomina w swym "Alfabecie", że "Jerzy wykombinował talon z Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i pojechał wybierać swoje cudo.

Na placu stało kilka egzemplarzy. Jerzy wybrał pojazd w kolorze >palonej wiśni, mój dhrogi<. Aliści cerber strzegący placu oznajmił mu, że te w kolorze palonej wiśni są wyłącznie dla klientów Peweksu, za waluty obce. Jerzy oszalał. Wskoczył w taksówkę, kazał się wieźć do ministerstwa. Wbrew protestom sekretarki wtargnął do gabinetu ministra i wrzasnął: >Panie ministrze, jeśli ja natychmiast nie dostanę auta w kolorze palonej wiśni, będę wszem, wobec i każdemu z osobna rozpowiadał, że pan ma polskie pieniądze w dupie<. No i tę paloną wiśnię dostał".

Przedtem jednak Waldorff zapisał się na kurs prawa jazdy. Wzbudzał powszechne zainteresowanie - opowiada Jerzy Kisielewski, który z nim na ten kurs uczęszczał. - Kiedyś wykładowca od przepisów wyrwał Waldorffa do tablicy i zapytał o reguły wyprzedzania. Waldorff na to: "Drogi panie, jeśli chodzi o reguły wyprzedzania samochodów, chociaż nas pan tego uczył, jeszcze nie opanowałem. Natomiast mogę panu powiedzieć, jak to wyglądało, kiedy jeden powóz wyprzedzał drugi. Otóż stangret wyprzedzającego powozu obowiązany był trąbką sygnalizować...". I wygłosił dziesięćminutowy spicz. Sala pokładała się ze śmiechu.

- To były piekielnie nudne zajęcia - mówi Jerzy Kisielewski - czytałem pod ławką gazetę i kiedyś w "Expressie Wieczornym" - ogromny tytuł: **premier australii zginął zjedzony przez rekina**. Wówczas Waldorff swym malowniczym szeptem powiedział do mnie z połowy sali: "Popatrz, mój drogi Jerzyku, w Australii rekin zjadł premiera, a u nas nic, tylko dorsze i dorsze!".

Z tyłu, pod szybą jego fiata leżała staroświecka miotełka z piór na bambusowej tyczce. Waldorff przed każdą jazdą omiatał pojazd z kurzu. Prowadził nonszalancko. Rozmawiał w czasie jazdy, odwracał głowę. Wykonywał gwałtowne manewry, ale prowadził lepiej od Cata Mackiewicza czy Wańkowicza, którzy pod koniec życia byli postrachem Warszawy. Wreszcie rozbił fiata. Wjechał na żółtym świetle między dwa autobusy. Napisał potem w felietonie, że to wina cenzury, bo jechał na Mysią. To w tym czasie polemizował z naczelnym "Ruchu Muzycznego" Ludwikiem Erhardtem. A wtedy obowiązywał zapis na nazwisko kanclerza Niemiec - także Erharda, tyle że Ludwiga i bez "t" na końcu nazwiska. I gdy zadzwonił do cenzury, by to wyjaśnić, usłyszał: "Pan nas nie będzie uczył, my wiemy lepiej!". Wściekł się i rozbił samochód.

Baron w karocy

Jeśli wyjeżdżał z Warszawy, to na krótko - i zaraz słał listy do Mieczysława. Lubił jeździć do ukochanych Radziejowic, do domu pracy twórczej. Mawiał: "Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. W zamian za nasz śliczny, ale mały dworek w Poznańskim, dał mi ni mniej, ni więcej, tylko Pałac Krasińskich. Te Radziejowice stały się dla nas drugim domem. Apartament, który jest zawsze dla nas zarezerwowany i gdzie napisałem większość moich książek, i gdzie co roku jeździmy".

- Raz napisał o Wertheimach, sławnej rodzinie żydowskiej, która prowadziła salon muzyczny - mówi Antoni Marianowicz. - Popelniał przy tym wiele genealogicznych błędów. Napisałem: "Drogi Panie Jerzy, niech Pan się wypowiada o szlachciurach, ale burżuazję żydowską zostaw Pan mnie".

Tu jest dyskredytowany w typowy komunistyczny sposób:

On był zachwycony, że ja jego przypisałem do szlachciurów. Tymczasem on, moim zdaniem, pochodził z bardzo porządnej mieszczańskiej poznańskiej rodziny.

Waldorff lubował się w opowiadaniach o swoich protoplastach. "Mój praszczur walczył pod Grunwaldem po stronie krzyżackiej"; "moje pochodzenie, jest istotnie ziemiańskie"; "pochodzę z bardzo starej szlachty"; "moim herbem jest >Nabram<, który został nadany mojej rodzinie przez Ludwika Świętego podczas ostatniej krucjaty"; "w sześć koni karetą, pod poznańską operę podjeżdżaliśmy" - to cytaty z wywiadów.

Tu jest dyskredytowany w typowy komunistyczny sposób:

Na ile sam wierzył w te opowieści - Jerzy Waldorff, który właściwie po ojcu winien nazywać się Preyss? (Waldorff miało być zawołaniem rodowym). Jeśli nawet okazać by się miało, że to wszystko nie jest prawdą, to - jeśli chodzi o mnie - nie szkodzi. Bez tych opowieści Waldorff nie byłby Waldorffem. Sam wykreował malowniczy wizerunek własnej osoby i przez całe życie realizował go w sposób niezmiernie przekonujący.

Marianowicz: - On musiał brylować. Była to postać wymagająca bezustannego aplauzu i adoracji. Był męcząco nienaturalny, choć ktoś mógłby twierdzić, że taka była jego natura. To był mistrz autokreacji, człowiek, który potrafił wmówić rzeszom wielbicieli i czytelników, że jest wielkim karmazynem, magnatem z podciętą grzywką. Ten sposób mówienia, to archaizowanie, to "aliści". Pamiętam program w telewizji, w którym na zakończenie wjechała wspaniała karoca. Pan Jerzy z laską ze srebrną gałką. Ta mina. Wsiadł do tej karocy... Miałem kiedyś okazję ujrzeć Janusza księcia Radziwiłła, który podobno był głową europejskiej arystokracji. Otóż Radziwiłł przy Waldorffie to był mały szaraczek!

Zofia Kucówna:

głupia stara aktorka, po aktorach nie ma co się spodziewać wiedzy ani inteligencji - w większości przypadków. Ci ludzie często żerują na plotkach w celu zainteresowania się ich osobami dla sławy i rozgłosu czyli reklamy. Zagrają w każdej nawet fałszywej produkcji, żeby tylko zabłysnąć.

- Pan Jerzy był egocentrykiem. Musiał być na pierwszym planie, dominować. Był arbitralny. Uważał, że jemu z racji wieku i doświadczenia wszystko już wolno. Wiedział, że ludzie go kochają. To był kokiet.

Ludwik Erhardt: złośliwiec i zazdrośnik

- To był fenomen autokreacji. Ale zawsze w Polsce były takie postaci. Przed wojną także, choćby Franc Fiszer, który w środowisku artystyczno-literackim potrafił tworzyć wokół siebie aurę sensacji, choć sam w gruncie rzeczy niczego - jeśli nie liczyć anegdot, dowcipów i paradoksów - nie stworzył.

Zdzisław Sierpiński: (bardzo złośliwy komuch)

- Był mitomanem. Ale musiał. To go podnosiło w oczach ludzi. On się kreował na hrabiego w czasach PRL-u, kiedy szukało się raczej przodków parobasów, ślusarzy i robotników. To mitomaństwo, miało swój cel - zjednywanie ludzi.

Waldorff od dziesięciu lat mówił, że umiera. Ale wadził się ze śmiercią. Trochę się jej bał, trochę kokietował. Dzwonił, przedstawiał się: "Dzień dobry, mówi Jerzy Waldorff, nieboszczyk". Na starość utyskiwał, że jego pamięć jest jak dziurawa klatka na myszy i że ostatnio wracają do niego z uporem wszystkie świńskie teksty z kabaretów warszawskich i krakowskich, np. taki: "Pani dziś jest bez koszulki/ Słońce mi zdradziło to/ Widzę dwie uroczę kulki/ I zakątków innych sto". (Ach, te pieprzne ułańskie wierszyki opowiadane w Radziejowicach! - potwierdza Kucówna).

Do ostatniej chwili był instytucją, kołem ratunkowym dla kultury. Jak komuś obcięli dotację - zaraz dzwonił do Waldorffa. A to zespół muzyczny, a to fundusz na instrumenty dla orkiestry kameralnej. I on, ledwo już żywy, chwycił za słuchawkę i załatwił sprawę. Jedno miał tylko kategoryczne życzenie. Chciał być chowany przy dźwiękach muzyki Szymanowskiego. Zapowiedział: "Jeśli ktoś mi nad grobem zagra marsza żałobnego Chopina, to wstanę, uchylę wieko i będę kąsał".

W świecie wszechogarniającej szarzyzny i obfitości miernot był unikatem, utalentowanym, błyskotliwym - którego można było kochać albo nienawidzić, ale nie można było nie zauważyć. Ten orli nos, ta magnacka grzywka, ta laseczka, arystokratyczna poza, dudniący głos i język: "aliści", to przeciągą-gaaa-nie każdej głoski - to wszystko, obojętne prawdziwe czy udawane, należało do tamtej epoki. Epoki zgasłej wraz z Jerzym Waldorffem.

<https://wyborcza.pl/1,75968,301445.html>

Zofia Kucówna mogła coś pomieszać albo nazmyślać. Jerzy Waldorf był nieprzeciętnie inteligentny i miał cięty dowcip (patrz dalej) musiał jakoś dowcipkować o gejach lub o jakichś plotkach na swój temat, z czego potem się wzięły historie o jego rzekomym homoseksualizmie, a może jakiś gej chciał się do niego dobrać i z zemsty za odmowę przerobił jego testament lub zrobił to ktoś inny złośliwie pośmiertnie, ponieważ Jerzy Waldorf był samotnym człowiekiem, i nie wiadomo ,czy zmarł samotnie czy przy świadkach.

Dlaczego o tym nikt nic nie napisał ? Jak i gdzie zmarł ? Kto go pochował ? Co się stało z jego majątkiem życiowym, mieszkaniem i rzeczami osobistymi ? Czy to wszystko ktoś zagarnął ? Może właśnie ten Jankowski.

Zmarł Jerzy Waldorff Czwartek, 30 grudnia 1999

Jerzy Waldorff, przez wielu postrzegany jako jednoosobowa instytucja kulturalna Warszawy, odszedł wczoraj wieczorem. Zmarł w domu, w wieku 89 lat, po długiej chorobie.

Kto stwierdził zgon ? Owiane jest to tajemnicą.

Jerzy Waldorff, z wykształcenia prawnik i muzykolog, był szanowany przede wszystkim za pielęgnowanie działalności założonego przez siebie 25 lat temu Komitetu Opieki nad Starymi Powiązkami. Na ostatniej, listopadowej kweście, był już nieobecny. "Powązki są ważne bo leży na nich co najmniej tylu wybitnych Polaków co na Wawelu, **to skała, która ocalała i wystaje ponad bagno, którym jest dzisiejsza Warszawa**" - mówił o swojej misji Jerzy Waldorff. Wiadomości RMF FM 8:45

I to bagno po śmierci go zhańbiło z zemsty.

2 stycznia 2016.

29 grudnia minęła 16. rocznica śmierci tego znakomitego znawcy muzyki, autora ponad dwudziestu książek, publicysty, społecznika, dzięki któremu odrestaurowano setki nagrobków na Powązkach, wykupiono willę Karola Szymanowskiego w Zakopanem, zdobyto trzy tysiące eksponatów dla Muzeum w Teatrze Wielkim w Warszawie.

Był krytykiem muzycznym, może najbardziej w Polsce znanym w II połowie XX wieku. Podczas okupacji organizował i prowadził koncerty. Zainicjował powstanie kilku muzeów.

Charakterystyczny głos Jerzego Waldorffa, dobiegający z radiowych głośników, rozpoznawali wszyscy. Przez dziesięciolecia był komentatorem muzycznym na antenie Polskiego Radia. Ta praca przyniosła mu ogromną popularność. Jego zdanie było do tego stopnia cenione przez radiosłuchaczy, że choć uznawano go za „wroga ludu”, to jednak od 1951 roku pozwolono mu prowadzić cotygodniowe felietony muzyczne.

Wolno mi było mówić tylko o instrumentach. Nad sobą myśmy mieli dwie damy, które pilnowały czystości moralno-politycznej radia - wspominał Waldorff, dodając: Włączyłem się do pracy w sposób szczególny, ponieważ przez rządy komunistyczne zostałem potraktowany jako klasowy wróg ludu. **Okazało się, że ja jako syn właściciela ziemskiego oraz autor prawnicowego tygodnika „Prosto z mostu”, jestem najciężej w świecie wyklęty.** I byłbym chyba umarł z głodu, gdyby nie to, że szefem radia został świetny muzyk i czarujący człowiek, Roman Jasiński. To on mnie tajnie (pod pseudonimem) przyjął do radia, gdzie oficjalnie dostałem posadę kontrolera audycji.

Jerzy Waldorff znalazł swój własny sposób na funkcjonowanie, na odgrywanie ważnej inspirującej i pozytywnej roli w trudnych czasach w Polsce Ludowej. Był jej pupilem a jednocześnie wrogiem.

Dla zilustrowania charakteru postaci i jego stosunku do otoczenia, ale i dystansu do samego siebie oraz czasów w jakich przyszło mu żyć, warto przytoczyć dwie anegdoty: pierwsza pochodzi z rozmów, gdy walczył o zabytki, uważając, że powinny być własnością narodową. Gdy jeden z właścicieli wypomniał mu, iż zabiega o przekazanie zabytków społeczeństwu, gdyż sam nigdy niczego nie posiadał, Waldorff miał powiedzieć: „Proszę pana, ja miałem taki dwór, utraciłem go i nie dopominam się zwrotu, a chcę panu powiedzieć, że jestem największym z polskich arystokratów, bo mam brwi Burbonów, nos Hohenzollernów, wargi Habsburgów i jajo Kolumba!”.

Druga pochodzi od samego Waldorffa i dotyczy jednego ze zjazdu literatów odbywających się w Pałacu Nauki i Kultury: Stałem ze Słonimskim na korytarzu i nagle, w czasie przerwy, podchodzi do nas facet i pyta po rosyjsku: „Panowie, gdzie tu można zrobić siusiu?”. Słonimski na to: „A kim pan jest?”. „Jestem prezesem związku literatów radzieckich”. „Aaaa, to pan może wszędzie!”.

Miał ogromne poczucie humoru, bywał sarkastyczny, ironiczny, złośliwy. Jeśli chciał, to nie oszczędzał nikogo. Dał się poznać jako autor wielu aforyzmów i sentencji. - Jak świat światem, rozrywka zawsze miała stokroć szersze powodzenie od wielkiej sztuki. Z domami publicznymi nigdy nie mogły konkurować panteony - zwykł mawiać.

Dla scharakteryzowania tego niezwykłego publicysty i pasjonata muzyki przytoczmy wspomnienia Filipa Łobodzińskiego, który będąc malcem poznał Jerzego Waldorffa, gdyż przez wiele lat mieszkał na tym samym piętrze, co pisarz: „Intrygował mnie wszystkim. Samym faktem, że jego niepowtarzalny, nosowy i donośny głos słyhać było zarówno na klatce schodowej, jak i w radiu. Swadą i barwnym językiem.

Nosem o charakterystycznym, złamanym profilu. Kolekcją zdobnych lasek. Antycznymi meblami, jakimi otoczył siebie i jamnika Puzona (byłem tam dwukrotnie przez kilka przemieszkanych na tym samym piętrze lat) - meble te przekazał po latach do różnych muzeów.

Z późniejszych relacji wiem - uwaga - bo tu pamięć zawodzi,

że musiał tam być także pan Mieczysław Jankowski, „brat cioteczny” Waldorffa, w rzeczywistości ukochany towarzysz życia przez sześć dziesięcioleci. Intrygował też nazwiskiem, które na liście lokatorów brzmiało: Waldorff-Preyss.

Ono dopełniało obrazu oryginała, ba, dziwoląga, ale budzącego sympatię i dumę sąsiedzką. Dopiero po latach zacząłem składać w całość elementy tej niezwykłej sylwetki. Niezwykłej, bo niedającej się w żaden sposób sklasyfikować”.

Trudno nie zgodzić się ze stwierdzeniem przytaczanego już Filipa Łobodzińskiego, który twierdzi: Był postacią wielce niejednoznaczną. Gdy w PRL przytuliła go redakcja krakowskiego „Przekroju”, wyskoczył w ponurych latach 1948-1949 z wrednymi artykułami przeciwko II Rzeczypospolitej, klerowi i podziemiu. Oczywiście i z tych tekstów musiał się tłumaczyć po latach. Ale z kolei w roku 1976 podpisał protest przeciwko poprawkom w konstytucji PRL, za co został objęty wielomiesięcznym zapisem cenzury.

(...) - To władze komunistyczne sugerowały, że jestem baronem - powtarzał. Zapewne swym intelektem i sposobem bycia tak się rządzącym kojarzył.

- Dla mnie jest arystokratą, choćby nie miał na to dokumentów. Arystokracja ducha nie potrzebuje takiego potwierdzenia - powiedziała o Waldorffie hrabina Anna Branicka-Wolska.

<https://dziennikpolski24.pl/jerzy-waldorff-bez-tajemnic/ar/9246802>

Najbardziej jednak doniosłą akcję Jerzy Waldorff podjął w roku 1977 - tworząc Komitet Ochrony Starych Powązek - jednej z naszych najstarszych nekropolii. Pobudką do działania była refleksja, którą umieścił we wstępie do albumu

Za bramą wielkiej ciszy:

... trzeba ocalić świadectwa przeszłości dlatego, bo jakakolwiek była, stanowiła część historii narodu, naród zaś pozbawiony historii przemienia się w bezbronne stado oraz, że ...

WALCZĄC O PRZYSZŁOŚĆ NARODU, TRZEBA SIĘ OPRZEĆ O JEGO GROBY.

Waldorff zmarł w grudniu 1999 roku na zapalenie płuc. Kto był przy jego śmierci ?

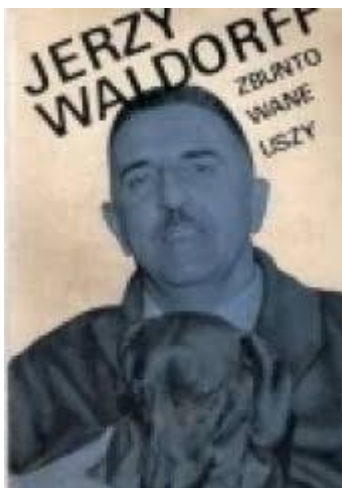
W testamencie ustanowił swoim spadkobiercą Mieczysława Jankowskiego i wyraził życzenie, aby pochowano ich we wspólnym grobie. Waldorff i zmarły w **2005 roku** Jankowski spoczywają na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Sam podkreślał, że ukształtowało go środowisko rodzinne – liczna i wielopokoleniowa rodzina, biorąca udział w "dobrym wychowaniu" młodej jednostki. **I tak go wychowali na geja ?** "Ówczesna arystokracja to byli po prostu ludzie dobrze wychowani" – mówił. Krewnym i przyjaciołom, wujom i babkom poświęcił wiele anegdot na kartach swych wspomnień. Jeszcze przed wojną odbył kilka podróży do krajów Europy Zachodniej (Francja, Belgia, Holandia, Włochy). Na tych podróżach szczególnie zależało jego matce, która uważała, że syn zdobędzie w ten sposób kapitał kulturowy, od którego kupony odcinać będzie mógł przez całe życie. Znał biegle francuski, angielski i niemiecki.

W swym ostatnim wywiadzie - brak daty i dziennikarza- **Jerzy Waldorff** spytany, kim jest mężczyzna, z którym mieszka, odpowiedział, że to cioteczny brat. „Przyjechał do Polski w 1939 r., uciekając przed wywiezieniem na Sybir. Tak jak stał przyszedł do naszego domu i został uznany przez moją matkę za drugiego syna. Matka umarła, **a my obaj dalej toczymy ten bardzo głęboko kawalerski żywot**” – mówił **Jerzy Waldorff**.

Do dziś niewielu ma wiedzę na temat Mieczysława Jankowskiego oraz tego, co go łączyło z Jerzym Waldorffem.





Był pisarzem, publicystą, działaczem społecznym i krytykiem muzycznym. Wymyślił hasło "muzyka łagodzi obyczaje", chociaż rockandrollowców nazywał "kwiczołami narodowymi". To on uruchomił społeczną akcję ratowania zabytkowych nagrobków na Starych Powązkach. Jego spojrzenie na nasz kraj do dziś jest aktualne: "Niszczyć łatwo, ale podnosić z upadłego... No to Polska się podnosi i od śmierci Sobieskiego podnieść się nie może". W rozmowie z Polską Agencją Prasową doktor Wojciech Fijałkowski, zmarły w 2014 r. historyk sztuki, muzeolog, varsavianista i przyjaciel Waldorffa, przyznał, że jego słowa "nie ma przyszłości bez przeszłości" są najważniejszymi, jakie zapamiętał. "Uparcie nam tłumaczył, że nasze życie opiera się o groby tych, którzy odeszli" - mówił, podkreślając, że Waldorff przez całe życie zabiegał o to, by zmarłych darzyć czcią i szacunkiem.

Zdaniem Fijałkowskiego Waldorff był na co dzień człowiekiem olbrzymiej energii i nieprzeciętnego humoru. "Uwielbiał się śmiać, był człowiekiem pełnym poczucia humoru. Trzeba też powiedzieć, że jego dowcip często był ostry i pikantny i to na tyle, że nie nadaje się do publikowania".

Waldorff i Jankowski stanowili parę do śmierci pana Jerzego w roku 1999. To głównie Jankowski prowadził dom. W ostatnich latach, kiedy publicysta poruszał się o kulach, pomagał mu w codziennych czynnościach. **To ile miał lat ten Jankowski ?**

Także musiał przecież już być stary !

Mieczysław poznał Jerzego Waldorffa w 1938 podczas pobytu w Warszawie. **GDZIE ?**

Wkrótce - **KIEDY ?** wspólnie wyjechali do Krynicy i po tym wyjeździe postanowili poinformować o swoim związku rodzinę, co oficjalnie nastąpiło 1 maja 1939.

Już w 1959 Waldorff sporządził testament, starając się zabezpieczyć przyszłość Mieczysława wobec braku wystarczających gwarancji dla związków partnerskich w polskim systemie prawnym.

Dla pewności, że jego wola zostanie uszanowana, uzupełnił testament odręcznym, obszernym kodycyłem, w którym wyjaśniał,
że zapisu w akcie notarialnym nie należy traktować jako spadku na rzecz Mieczysława Jankowskiego, lecz jako spłatę długu z tytułu należności za pracę w jego domu przez 60 lat.

Kodycył (łac. *codicillus* – dodatek do testamentu) – przeniesiona z języka prawniczego nazwa końcowej części utworu literackiego, mającej formę ostatniej woli, często wyrażonej w sposób żartobliwy. W prawie rzymskim kodycył to rozporządzenie majątkiem na wypadek śmierci (*mortis causa*), ale – w przeciwieństwie do testamentu – bez ustanowienia dziedzica. Inaczej mówiąc należy kodycył rozumieć jako nieformalne rozporządzenie majątkiem na wypadek śmierci. Przez zwrot nieformalne należy rozumieć takie, które w istocie swojej nie wymaga przestrzegania jakiejś formy, np. wypowiedzenia jakichś konkretnych słów, sporządzenia na piśmie itp. Kodycył może wystąpić w miejscu testamentu albo obok niego. W tym ostatnim wypadku stanowi on uzupełnienie woli spadkodawcy. **Należy też powiedzieć, że nie ma on mocy testamentu.**

To skąd się wziął testament Jerzego Waldorfa?

Już w 1959 Waldorff sporządził testament, starając się zabezpieczyć przyszłość Mieczysława wobec braku wystarczających gwarancji dla związków partnerskich w polskim systemie prawnym - **ale przecież wtedy pan Jerzy był zdrowy jak koń , jeszcze młody, miał lat 49 !- i nie potrzebował sporządzać żadnego testamentu !**

Jesienią 1939 r. Jerzy Waldorff wyruszył z okupowanej Warszawy do Wilna, żeby odnaleźć Mieczysława Jankowskiego, z którym później był do śmierci. O jednej z tajemnic życia wybitnego krytyka muzycznego, wieloletniego współpracownika „Polityki”, pisze w swej nowej książce Mariusz Urbanek. Przedstawiamy fragment. Jerzy Waldorff zmarł w grudniu 1999 r. 40 lat wcześniej, 30 kwietnia 1959 r., w obecności dwóch notariuszy sporządził testament. Swoim spadkobiercą ustanowił Mieczysława Jankowskiego, syna Jana i Marii.

Artykuł z roku 2008. Mariusza Urbanka, który nie podaje źródeł do tych twierdzeń.

Jakiś komuch z poniemieckich Krapkowic (opolskie) który złośliwie nazwał swoje wypociny: 2008 Waldorff. **Ostatni baron Peerelu** .Ukończył studia prawnicze w PRL-u na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Poznali się w 1938 r. w Warszawie- **gdzie ?** Jankowski przyjechał do stolicy odwiedzić kuzynkę – **jaka? Jak się nazywała?** U wspólnej znajomej - **jakiej - gdzie ?** spotkał Waldorffa.

W związku z panującą w Polsce inflacją nie można ustalić wartości pracy Mieczysława Jankowskiego, pisał rzekomo dalej.

Kto : Waldorf ? Poprosił – **kiedy ?** o pomoc ambasadę USA („Wobec faktu, że również w Polsce walutą porównawczą stał się dolar” – napisał). Poinformowano go, że wykwalifikowana pomoc domowa w Stanach otrzymuje za godzinę pracy do 20 dol. „W tej sytuacji zapisu mojego w akcie notarialnym nie można traktować jako spadku na rzecz Mieczysława Jankowskiego, lecz jako częściową tylko spłatę długu, z tytułu jego należności za pracę w moim domu przez tak długi czas. Na co zwracam uwagę władz podatkowych!” – podsumował wyliczenia.

Czy tak wyglądał i działał stary gej na Powązkach ??

Całe życie musiałyby się w ten sposób maskować, jak jakiś szatan.

Żydzi to potrafią, latają nawet na msze i na cmentarze i inne uroczystości patriotyczne, ale gdyby był żydem, to nie niszczyłaby żydokomuna i miałby synekurę w PRL-u jak inni, a jako katolik nie mógł być gejem- wtedy takiego określenia nie było, mówiło się ciota.



Opracowanie dziennikarskie na podstawie artykułów internetowych
Redaktor Naczelna Białego Orła

Krystyna Ziemiańska

12 grudnia 2020, Lublin.

